

# Irlandia - zielona wyspa

Polacy uwielbiają wyszukiwać przeróżne cechy u obcych narodów, które wydają się im bliskie, rzekomo podobne do swoich, a w związku z tym uważają owe narody za bratnie. Niestety, wyobrażenie to rzadko zgodne jest z prawdą, a sympatia Polaków do „bratniego” narodu prawie nigdy nie spotyka się z odwzajemnieniem. Podobno mamy włoski temperament, francuską fantazję i jesteśmy krewcy jak Irlandczycy. W czasie naszego pobytu w Killarney (Płd. Irlandia) Irlandczycy, których tam spotkaliśmy byli mili, bezpośredni i niezwykle opiekuńczy, niestety zupełnie nie byli krewcy. Do nas odnosili się z sympatią i ciekawością jako, że byliśmy pierwszymi spotkanymi przez nich przybyszami z Polski. Polacy nie zapuszczają się do Irlandii. To słabo zaludniony, dostatni a równocześnie skromny kraj, w którym nie bardzo jest czym handlować i nie bardzo jest się gdzie zatrudnić. Wobec tego jest szansa, że w tym jednym przypadku nasza, w zasadzie całkiem słuszna sympatia do Irlandczyków spotka się z odwzajemnieniem.

Czy coś nas w ogóle łączy z tym dość dalekim krajem, o innych uwarunkowaniach geograficznych, demograficznych, choć może z trochę podobną historią a już zupełnie taką samą dominującą religią. Na pierwszy rzut oka dzieli nas estetyka. W mieście, na ulicy, w restauracjach i pubach trudno doszukać się tandety czy kiczu. Wyraźnie odczuwalny jest szacunek do rzeczy starych, zużytych, wręcz odkrywanie piękna w tym, w czym widać proces, czas, wydarzenia, których owo coś, krzesło, witryna sklepowa, czy drzwi – było świadkiem. Pewnie, że dla turystów powstają bary z fast food, plastikowe sklepy z chipsami i napojami w puszkach ale miejsca te pozostają ciągle jeszcze w mniejszości, na korzyść starych, odrapanych lokali. Siedzi się w nich przy siermiężnym kominku na zabytkowych fotelach bez nóg ułożonych na drewnianych skrzyniach po amunicji, przy stoliku z blatem nadjedzonym przez korniki. W kącie stary rower, pod sufitem setki dziwnych przedmiotów, na ścianie czarno białe fotografie i koniecznie tarcza do rzucania lotkami, gra, w którą bawią się wszyscy starzy bywalcy pubu, popijając ciemnego Guinnessa. Wszędzie bezpłatne, czyściutki ubikacje – ot, co nas różni od Irlandii. Wszystko to miłe ale nie o pierwszorzędnej ważności.

Irlandia, podobnie jak Polska, została wylesiona. Co prawda Polska szczyci się 27,8% powierzchni kraju pokrytej lasem, Irlandia natomiast zaledwie 1%, w rzeczywistości jednak ten jeden irlandzki procent oznacza las naturalny, podczas gdy w Polsce lasu naturalnego nie ma nawet 0,5%. Las w Polsce to głównie jednogatunkowe i jednowiekowe plantacje gospodarcze. W Irlandii dużo mówi się o akcji zalesiania, widać już obecnie efekty takich pierwszych prób sprzed kilkudziesięciu lat. Chorowite świerki, stłoczone w rzędach monokultur nie zachwycają.

Krajobraz irlandzki to przede wszystkim zielone pola i łąki, ogrodzone porośniętymi mchami stertami kamieni i bujnymi, dojrzałymi żywopłotami. Zadziwiają rozmiarami i wiekiem drzewa śródpolne. Większość drzew w Irlandii, nawet tych w mieście, jest bardzo, bardzo stara. To na pewno coś, co różni ten kraj od naszego. W folderach hoteli jednym z ważniejszych elementów reklamy są stare ogrody z „dojrzałymi drzewami” (mature trees). Spowodowało to we mnie coś w rodzaju zazdrości i smutku. Przypominałam sobie nasze polskie, biedne drzewa – im większe tym biedniejsze, bo przycinane, okaleczane, pozbawiane korony i swojego naturalnego kształtu. Dla niektórych taka kosmetyka kończy się śmiercią. Dla innych kaleką wegetacją. Nie mówiąc już o tym, że w ogóle już nawet 100-letnie okazy (a drzewo może żyć 200, 300 i 400 lat) należą u nas do rzadkości.

Jednak było coś, co w konfrontacji z ostatnimi doświadczeniami Pracowni zrobiło na mnie największe wrażenie: wszędzie, ze wszystkimi, z którymi rozmawialiśmy o ratowaniu dzięki przyrody, delfinach, tygrysach syberyjskich, lasach w Szkocji czy Irlandii – a wszystko to dotyczyło ograniczenia presji człowieka, rezygnacji z eksploatacji, mnożenia zysków itd. nigdy nie pojawiał się cień wątpliwości, czy działania te nie są skierowane „przeciwko człowiekowi”. To jest po prostu jasne i powszechnie zrozumiałe, że wszystko, co robimy dla przyrody, wilka, rysia, starego drzewa, lasu czy góry, robimy

wprost dla siebie. Dla własnego – jasne, że rozumianego szerzej i głębiej bogactwa, dla tego, co zostawimy po sobie naszym dzieciom itd, itd. Można i trzeba by wiele o tym pisać tu na łamach polskiego pisemka bo tam, w najbardziej katolickim kraju Europy jest to niepotrzebne.

I ostatnia refleksja związana z powyższym: tolerancja. Do niedawna my, Polacy, szczyciliśmy się czymś takim. Ostatnio jakby już przestaliśmy. Zadaję sobie pytania, czy kilkutyśne miasteczko w Polsce przyjąłoby u siebie półtora tysiąca ludzi jasno i dosłownie manifestujących poprzez strój, dietę i działania swój odmienny światopogląd (wśród nich wielu światowej sławy naukowców z największych uniwersytetów), czy przyjąłoby tych ludzi serwując w swoich restauracjach specjalnie dla nich przygotowane wegetariańskie menu? Czy największy krajowy dziennik napisałby na pierwszej stronie artykuł dotyczący głębokiej ekologii, duchowości i pierwotnej mądrości? Wątpię, być może niesłusznie. Obym się myliła.

Marta Lelek